

Wańka

17 września 2017

Wańka Żuków, oddany przed trzema miesiącami do terminu do szewca Alochina, w wigilię Bożego Narodzenia nie kładł się spać. Doczekawszy czasu, kiedy majster i czeladnicy poszli na pasterkę, wydobył z majstrowej szafy flaszeczkę z atramentem, pióro z zardzewiałą stalówką i, położywszy przed sobą pomięty arkusz papieru, zaczął pisać.

Zanim nakreślił pierwszą literę, obejrzał się kilka razy trwożliwie na drzwi i okno, zerknął na pociemniały święty obraz, od którego w obie strony wzdłuż ścian ciągnęły się półki z kopytami, i westchnął przeciągle. Papier leżał na ławce, chłopiec zaś sam klęczał przed nią.

„Miły dziaduniu, Konstanty Makaryczu! – pisał. – Piszę do ciebie list. Ślę ci życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia wszystkiego najlepszego od Pana Boga. Nie mam ani ojca, ani matuli, tylko ty jeden mi zostałeś.”

Wańka skierował wzrok na ciemne okno, w którym migotało odbicie jego świeczki, i jak żywy stanął mu przed oczyma dziadek, Konstanty Makarycz, który służył za nocnego stróża u państwa Żywarowych. Jest to drobny, chuderlawy, ale niezwykle żywy i ruchliwy staruszek lat sześćdziesięciu pięciu, z wiecznie uśmiechniętym i pijanym wzrokiem. Za nim, łeb opuszczony, stąpa stara suka „Kasztanka” i pies „Piskorz”, nazwany tak z powodu czarnej sierści i długiego, jak u łasicy, ciała. Ten „Piskorz”, uniżony i łagodny, jednakowo uprzejmie patrzy na swoich i na obcych, ale nie cieszy się zaufaniem. Pod tą uniżonością i pokorą kryje się jezuicka przewrotność w najwyższym stopniu. Nikt lepiej od niego nie potrafi podkraść się i capnąć za nogę, wleźć do lodowni albo ukraść chłopu kurę. Już niejednokrotnie podbijano mu tylne nogi, dwa razy go wieszano, co tydzień bito go prawie na śmierć, ale za każdym razem przychodził do siebie. Teraz dziadek na pewno stoi przed

bramą, mruży oczy na jaskrawoczerwone okna cerkwi i przytupując wojłokowymi butami, gawędzi z czeladzią. Kołatka wisi mu u pasa. Klaszcze w ręce, zżyma się na chłód, starczo chichocze, szczypie to pokojówkę, to kucharkę.

– Tabaczki sobie zażyjemy, co? – mówi, podstawiając babom swoją tabakierkę.

Baby zażywają i kichają. Dziad wpada w niezwykle zachwyt, zanosi się od wesołego śmiechu i krzyczy:

– Odrywaj, przymarzło!

Dają powąchać tabaki psom. „Kasztanka” kicha, kręci mordą i obrażona, odchodzi. „Piskorz” przez szacunek nie kicha, lecz kręci ogonem. Pogoda zaś jest cudowna. Powietrze spokojne, przezroczyste, mroźne. Noc ciemna, ale widać dobrze całą wieś, jej białe dachy i smugi dymu unoszące się z kominów, drzewa posrebrzone szronem, grudy śniegu. Całe niebo zasiane wesoło migoczącymi gwiazdami, a drogę mleczną widać tak wyraźnie, jakby ją umyto na święta i wytarto śniegiem. Wańka westchnął, umoczył pióro i pisał dalej:

„...A wczoraj dostałem smarowanie. Majster wywłókł mnie za włosy na dwór i wysmarował pocięglem za to, że kołyszac dziecko, niechcący zasnąłem. W tygodniu majstrowa kazała mi oprawić śledzia, a gdy zacząłem od ogona, to wzięła główkę śledzia i tkała mi ją do gęby. Czeladnicy się ze mnie śmieją, posyłają do szynku po wódkę i każą kraść majstrowej ogórki. A majster bije, czym się zdarzy. I karmią tu okropnie. Rano dają chleba, na obiad – kaszy, a wieczorem – też chleb, a żeby herbaty albo kapuśniaku, to gospodarze sami żłopiają. Spać – to mi każą w sieni, a kiedy ich dzieciak płacze, to wcale nie śpię, tylko muszę go kołysać. Drogi dziaduniu, na miłość Boską, weź mnie stąd na wieś, bo już wcale nie mogę. Kłaniam się do nóg i będę wiecznie Boga prosił, zabierz mnie stąd, bo zamrę...”

Wańka wykrzywił usta, potarł oczy czarną piąstką i zaczął łkać.

„...Ja ci będę tytoń rozcierał – pisał dalej – do Boga będę się modlił, a gdy ci się co nie spodoba, to bij mnie, jak psa. A jeżeli myślisz, że dla mnie miejsca nie ma, to ja poproszę rządcę, żeby mnie wziął do czyszczenia butów albo zamiast Fiedźki, będę pastuszkciem. Dziaduniu drogi, nie ma tutaj innego wyjścia, tylko śmierć. Chciałbym pieszo uciec na wieś, ale butów nie mam, boję się mrozu. A jak wyrosnę duży, to za to będę cię żywił i nikomu nie dam cię skrzywdzić. A jak umrzesz, będę się modlił za spokój twojej duszy, wszystko jedno, jak za mamę Pelagię.

A Moskwa – miasto duże. Wszystkie domy pańskie i koni dużo, a owiec nie ma i psy nie są złe. A z kołędą tu nikt nie chodzi i na chór nikogo nie puszczają śpiewać, a raz w sklepie widziałem, że sprzedają haczyki razem z nitką i na wszelką rybę, bardzo dobre, nawet taki jest jeden haczyk, co pudowego suma utrzyma. I widziałem takie sklepy, co w nich strzelby sprzedają wszelakie w rodzaju takiej, jak ma nasz pan, tak, że może ze sto rubli kosztuje jedna. A w sklepach mięsnych i cietrzewie są, i jarzabki, i zające, ale kupcy tego nie powiedzą, gdzie na nie polują.

Drogi dziaduniu, a kiedy u państwa będzie choinka z podarunkami, to weź dla mnie złocony orzech i schowaj go do zielonej skrzynki. Poproś panienkę Olgę, powiedz, że dla Wańki.”

Wańka konwulsyjnie westchnął i znowu utkwiał wzrok w oknie. Przypomniiał sobie, że zwykle po choinkę dla państwa chadzał do lasu dziadek i brał ze sobą wnuka. Wesołe były czasy! Zwykle przed ścięciem choiny dziadek wypalał fajkę, długo zażywał tabakę i szydził sobie z przeziębłego Wańki... Młode jodły, otulone szronem, stoją nieruchomie i oczekują, która z nich ma umrzeć... Nagle, ni stąd, ni zowąd, mknie zając po śnieżnych grudach. Dziadek nie może się powstrzymać, by nie krzyknąć:

– łapaj, łapaj... łapaj... ach, diabeł kusy!

Ściętą choinkę dziad ciągnął do dworu, a tam zaczynali ją ozdabiać... Najwięcej krzątała się panienska Olga, ulubienica Wańki. Za życia jego matki Pelagii, która służyła u państwa za pokojówkę, Olga dawała Wańce karmelki i nie mając co robić, nauczyła go czytać, pisać i liczyć do stu i nawet tańczyć kadryla. Po śmierci zaś Pelagii, sierotę Wańkę wyprawiono do kuchni czeladnej, do dziadka, a z kuchni – do Moskwy, do szewca Alochina...

„...Przyjeżdżaj, miły dziaduniu” – pisał dalej Wańka. – Błagam cię na Pana Jezusa, weź mnie stąd. Zlituj się nade mną, sierotą nieszczęśliwym, bo tu mnie wszyscy biją i jeść mi się strasznie chce, a nudno tak, że wypowiedzieć nie umiem, ciągle tylko płaczę. A niedawno majster kopytem mnie po głowie uderzył tak, że upadłem i ledwom wstałem... A jeszcze kłaniam się Alenie, ślepemu Jegorce i furmanowi, a harmonii mojej nikomu nie dawaj. Zostaję twój wnuk Iwan Żuków, miły dziaduniu, przyjeżdżaj.”

Wańka złożył we czworo zapisany arkusz i włożył go do koperty, kupionej wczoraj za kopiejkę. Pomyślawszy trochę, umoczył pióro i napisał adres:

Na wieś do dziadunia

Potem podrapał się w głowę i dodał: „Konstantemu Makaryczowi”. Zadowolony, że mu nikt nie przeszkodził w pisaniu, włożył czapkę i nie narzucając na siebie kożuszka, w koszulinie tylko wybiegł na ulicę...

Subiekci ze sklepu mięsnego, których rozpytywał poprzedniego dnia, powiedzieli mu, że listy wrzuca się do skrzynek pocztowych, a ze skrzynek zostają rozwożone po całym kraju na trójkach pocztowych z pijanymi woźnicami i dźwięcznymi dzwonkami. Wańka dobiegł do pierwszej skrzynki pocztowej i wsunął cenny list do otworu. Ukołysany słodkimi nadziejami w godzinę później, spał mocno. Śnił mu się piec. Na piecu siedzi dziadek ze spuszczoneymi bosymi nogami i czyta list kucharkom.

Koło pieca chodzi „Piskorz” i kręci ogonem...

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczenie: A. W.

Źródło: WolneLektury.pl